

Jarosław Abramow-Newerly

Lwy mojego podwórka



Wstęp do pierwszego wydania

Do napisania tej bardzo osobistej książki zachęciła mnie redaktor Iwona Pakuła, dyrektor cenionego wydawnictwa „Akapit–Press”, za co jestem jej bardzo wdzięczny. Równie serdecznie dziękuję redaktorom Małgorzacie Wojciechowskiej i Elżbiecie Jasztal–Kowalskiej za pomoc i radę przy ustalaniu ostatecznej wersji tekstu. To już drugie nasze spotkanie w wydawnictwie „Twój Styl”, któremu za tę piękną edycję osobno dziękuję. Przyznaję, że zwłaszcza okładka Macieja Sadowskiego sprawiła mi dziecięcą wprost radość. O takich „lwach” właśnie myślałem.

Odgrzebując moje dzieciństwo z niepamięci, nagle przekonałem się, że to wspomnianie jest dla mnie swoistą terapią, sprawia ulgę i radość, a co ważniejsze – przynosi wiele niespodzianek.

Nie sądziłem, że mój dom przy ulicy Krasińskiego 16 na Żoliborzu jest niezwykle. Biegając po podwórku, wiedziałem, że leży między Krasińskiego a Słowackiego, a dalej jest Mickiewicza, ale pojęcia nie miałem, że tę moją III Kolonię WSM–u trzech naszych wieszczów otacza. I w cieniu ich nazwisk wzrastam. Lelewel kojarzył mi się z placem, na którym zjeżdżaliśmy na sankach z najwyższej kaskady, Żeromski z parkiem, Zajączek z zajączkiem. Podobną ocenę stosowałem wobec rodziców, najbliższych sąsiadów i ludzi, których wtedy widziałem. Tak więc ojciec mego starszego kolegi Szarka, który zginął w Powstaniu Warszawskim, twórca „Szklanych Domów”, Adam Próchnik był po prostu zabawnym grubaskiem, który człapał przez moje podwórko w przykusym paletku i za dużych kaloszach. Rękę z teczką zawsze trzymał śmiesznie zgiętą w łokciu. Lubilem go naśladować. Skąd mogłem wiedzieć, że po wojnie będzie miał ulicę przy naszej kotłowni WSM-

–u, a zakłady jego imienia przetrwają nawet PRL i „Próchnik” dzielnie walczyć będzie na giełdzie.

Z okna mego pokoju widziałem małą żółtą drewnianą plebanię i rosnący obok nowy kościół z czerwonej cegły. Dziś do tego kościoła na Żoliborzu ciągną pielgrzymki z całej Polski. Codziennność zmienioną w niecodziennność mógłbym mnożyć, począwszy od mego przedszkola, w którym przed wojną woźną była Janina Bierutowa, żona późniejszego wodza Narodu. Po śmierci, jak wiadomo, Bierut też otrzymał sporo ulic, zakładów, a nawet miasteczek z pięknym górskim pejzażem, jak Bierutowice.

Słowem, ludzie, kórych wówczas uważałem za zwykłych, dziś mają swoje miejsce w encyklopedii. Mało który dom może się pochwalić tak wieloma osobistościami: politykami, naukowcami i artystami. I taką liczbą ukrywających się w czasie wojny Żydów. Żoliborskie „Szklane Domy” WSM-u były pod tym względem swoistą oazą i w nieludzkich czasach z człowieczeństwa zdały egzamin na piątkę.

Wśród tych, których wtedy miałem szczęście poznać, byli doktor Janusz Korczak i Stefania Wilczyńska. O Korczaku wiedziałem, że napisał dużo książek dla dzieci, ale do nas przychodził zwyczajnie. Siadał z moim ojcem przy biurku i opowiadał kawały. Mama podawała herbatę. Korczak uwielbiał żarty i śmiał się wesoło. Miał wielkie poczucie humoru. Męczeńska śmierć przysłoniła wszystko.

Moich rodziców podobnie – jako zupełnie zwyczajnych – postrzegałem. Tata przed wojną był redaktorem, w czasie wojny szklarzem i stolarzem, po wojnie dyrektorem. Nic nie zapowiadało, że będę synem znanego pisarza Igora Newerlego. Gdy chodziłem do szkoły, kierował Instytutem Produkcji RTPD i przy Dworcu Gdańskim na terenie spalonych baraków dla bezrobotnych budo-
wał duże zakłady stolarskie z myślą o produkowaniu urządzeń szkolnych, tak bardzo wtedy potrzebnych. Kiedy przychodziłem tam z chłopakami, wśród Jego pracowników widziałem wyższych przedwojennych oficerów w wojskowych „kanadyjkach” z zachodniej armii. Najbardziej lubilem kapitana Stojka, który był żołnierzem I Kompanii Kadrowej Józefa Piłsudskiego. Świetnie rysował i mówił do mnie *per* Jarenty. Dziś rozumiem, że ci sanacyjni oficerowie z pułkownikiem i trzema majorami na czele znaleźli u ojca bezpieczny azyl. Tata w tym Instytucie zatrudnił swoich kolegów z Majdanka i Oświęcimia. Pracowali tam też niemieccy jeńcy wojenni. Ci oficerowie do Ojca zwracali się „panie inżynierze”, a gdy

prostował, dziwili się, że nie będąc nim, wznosi śmiało wielką halę fabryczną. Z jej łukowego dachu, który sam zaprojektował, był najbardziej dumny. Wzniesienie go za pomocą powojennej zgrzebnej techniki, bez dźwigów, wydawało się niepodobieństwem. Tata go jednak wznosił. Gdy się do czegoś zapalił, nie było rzeczy niemożliwych. Podobnie przed wojną traktował spływy kajakowe, a po wojnie pisanie. Musiał przecierać trudne, nieznane szlaki. Dziś dopiero w pełni mogę docenić tę Jego niezwykłość.

Podobnie oceniam niezwykłość mojej Mamy, przed wojną nauczycielki śpiewu i aktorki kukielkowego teatrzyku „Baj”. Dziś inaczej widzę środowisko „bajowców” i przyjaciół rodziców, którzy mieli na mnie wielki wpływ. O niektórych Tata wspomniał w swoich książkach, o wielu jednak nie napisał i ja to dziś dopisuję. Oczywiście po swojemu.

Koledzy z podwórka sprawili mi największą niespodziankę. Niektórych widziałem ostatni raz podczas Powstania Warszawskiego i nagle – podczas pisania – stanęli przede mną jak żywi. Prawie wszyscy starsi zginęli. Ocaliliśmy tylko my, najmłodsi. W Powstaniu walczyli jak lwy, zgodnie z piosenką, że „Krajowej Armii powstańcze oddziały to nie tygrysy, to są lwy!”.

Sierpień 1944 był największym przeżyciem mego dzieciństwa. Dlaczego piszę o nim tak późno – to jasne. O klęsce Powstania zdecydował w równym stopniu Stalin, co Hitler. Nie jest winą naszych dowódców, że przyszło im bić się z tak okrutnym wrogiem, jak Adolf Hitler, i tak perfidnym przyjacielem, jak Józef Stalin. Oni to, walcząc ze sobą na śmierć i życie, co do nas, tak jak w 1939 roku, w mig się dogadali. W żelaznym ucisku rąk zgnięli nas na miazgę. Zgrali się w tej akcji lepiej niż my w dwukrotnym ataku na Dworzec Gdański. I ten cud militarny nad Wisłą, nieznany w historii wojen, nam bratnio zgotowali. Jeśli do tego dodamy naiwność i cynizm naszych sojuszników, to była to zaiste walka z wiatrakami. Nie dla oficerów z czasu, gdy słowa Bóg, Honor i Ojczyzna coś znaczyły. Nie są winni ci ostatni rycerze Rzeczypospolitej, którzy zgodnie z tym hasłem, które na naszych oczach w sierpniu płonęło i szło do nieba z dymem pożarów, wierni danej przysiędze wojskowej wbrew zdziwieniu i nędzy tego świata, pozostali nadal prawymi żołnierzami, jak przystało na godnych polskich oficerów.

Znów tak się złożyło, że właśnie na mojej ulicy Krasińskiego Powstanie wybuchło najwcześniej. I w moim domu mieścił się sztab

żoliborskiego zgrupowania AK. Codziennie więc widziałem komendanta „Żywiciela”, jak idzie przez moje podwórko.

Tę niecodzienność uświadomiłem sobie dopiero dziś. Doceniłem ciche bohaterstwo moich rodziców, ich przyjaciół i sąsiadów z podwórka, ich hart i upór w zachowaniu godności oraz wzajemne wspieranie się w najcięższych czasach.

I chociaż III Kolonia wciąż stoi przy Kasińskiego, mego domu już nie ma. I takiego Żoliborza. Dlatego go opisałem.

Jarosław Abramow-Newerly
wrzesień 2000

Wstęp do drugiego wydania

Końcowe zdanie z tamtego wstępu, w którym pisałem, że mojego starego Żoliborza już nie ma – nie jest całkiem prawdziwe. Jak zwykle życie dopisało ciąg dalszy – dużo ciekawszy i bardziej niezwykły. Odezwali się czytelnicy z różnych stron świata. Z Europy, Stanów Zjednoczonych, Izraela, a nawet Australii. Na moim wieczorze autorskim w Toronto jeden z czytelników od razu zaznaczył, że przyjechał tu z Hamiltonu. Kiedy zdziwiłem się, że z tak daleka, odparł: „A co?! Niech pan sobie nie myśli. Żoliborz jest i w Hamiltonie. Nie tylko w Warszawie”. Na tym wieczorze spotkała mnie jeszcze większa niespodzianka. Pod koniec spotkania podeszła do mnie jakaś pani i nieśmiało powiedziała: „To ja jestem ta uratowana żydowska dziewczynka, którą pańska matka odebrała podczas wojny sprzed kotłowni WSM na Suzina i zaprowadziła do stolarza Jana Gosińskiego, o którym pan wspomniał. Przechowuję nawet list pańskiego ojca do mnie pisany po wojnie. Czy może mi pan podpisać książkę?”. Kiedy nie bardzo wiedziałem, jak zacząć, dodała: „Najlepiej napisać dla Aśki. Tak mnie w domu na Żoliborzu nazywali. I tak lubię najbardziej”. Po wyjeździe z Polski ze swoją prawdziwą matką przybyła do Izraela, potem przeniosła się do Kanady, gdzie mieszka do dziś. Taki ciąg dalszy tylko samo życie mogło dopisać. Podobnych spotkań było więcej. Okazało się, że druga żydowska dziewczynka, którą widziałem w mieszkaniu o piętro wyżej, też żyje. Tym razem w Warszawie. Syn opisanego przeze mnie Majora – słynnego rotmistrza Witolda Pileckiego – inżynier Andrzej Pilecki, podarował mi książkę o swoim ojcu, dzięki której wzbogaciłem to wydanie nowymi faktami. Ofiarowano mi wiele bezcennych zdjęć. Syn projektantki budynku naszego przedszkola, inżynier Wojciech Jankowski, nadesłał mi nawet plan starego Żoliborza, który z radością zamieszczam. Na fotografiach

rodzinnych, użyczonych mi przez Wisia Dziedzica, możemy zobaczyć, jak wyglądał przed wojną kościół Świętego Stanisława Kostki ze starą drewnianą plebanią czy barka przystaniowego Górskiego na Wiśle, gdzie o mało się nie utopiłem. W ostatniej chwili Jacek Szczepański doniósł mi unikalne zdjęcie z polowania cara Mikołaja II w Białowieży w 1912 roku. Na tle opisanego przez mego ojca pałacu, którego dawno już nie ma, stoi imperator Wszechrosji nad imponującymi myśliwskimi trofeami, a służba leśna na czele z Wielkim Łowczym Puszczy Białowieskiej Józefem Newerlym salutuje do służbowych czapek. Teraz łatwiej sobie wyobrazić opis tego polowania w książce mego ojca *Zostało z uczty bogów* czy przytoczone przeze mnie w *Lwach...* wspomnienie ciotki Tusi, ostatniego naocznego świadka tych wielkich carskich łowów, żyjącej dziś w Sztokholmie. Nawet mój pobyt w Wodzisławiu znalazł ciąg dalszy. Wojciech Skrodzki dał mi fotografię swego brata Andrzeja z 1944 roku, a dzięki wspomnieniu Jerzego Łosiakowskiego w „Gazecie Wyborczej” dowiedziałem się, że moi gospodarze Marianna i Julian Szymańscy mieli trzyipółhektarowe gospodarstwo. Ich najstarszy syn doktor Witold Szymański, którego przyjazd bryczką z narzeczoną zrobił na mnie takie wrażenie, pracował w szpitalu w Warszawie jako lekarz ginekolog, należał do AK i brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie skazany został przez władze PRL za swą wojenną działalność na trzy lata, odsiedział półtora roku w więzieniu. Potem był znanym lekarzem. Drugi syn Adolf, nauczyciel z Sędziszowa, którego tak oplakiwała moja gospodyni, walczył również w AK. Aresztowany przez Niemców, został rozstrzelany 7 marca 1944 roku w Jędrzejowie. Okazało się, że moi gospodarze ukrywali Żydów i karmili ich po kryjomu, gdy w nocy wychodzili z lasu. Dzięki temu wspomnieniu mogę dołączyć też fotografie moich gospodarzy. Na zdjęciach widać wyraźnie dobroć i łagodność Marianny z Jezierskich Szymańskiej oraz surową dumę Juliana Szymańskiego, który umiał rządzić i rozkazywać.

Skoro ten przedwojenny dom przy ulicy Krasińskiego 16 wzbudził taką ciekawość i sięgnął aż tak daleko, to znaczy, że nie do końca zniknął. Coś z tej „uczty bogów” zostało. I to najbardziej cieszy. Zwłaszcza fakt, że młodzi też zareagowali na opis mego starego podwórka. Często mówią mi, że chodząc po Żoliborzu, inaczej nań patrzą. Widzą rzeczy, których dawniej nie widzieli. I ten ciąg dalszy jest dla mnie największą nagrodą. Żywym dowodem, że jednak warto opisywać miniony świat.

Jarosław Abramow-Newerly
sierpień 2002

Wstęp do trzeciego wydania

Od ostatniego wydania tej książki minęło szesnaście lat i wiele się zmieniło. Sporo opisanych przeze mnie kolegów z podwórka odeszło już na zawsze. Nie żyje Tadek Karkowski „Karus” oraz młodszy ode mnie Jerzy Karaszkiewicz i Andrzej Żarnecki. Inni, jak Hanka Puławska, Krzysia Brzezińska (dziś Lindenberg) czy Andrzej Lewandowski „Lewus” dalej dzielnie mi towarzyszą. Natomiast los niektórych bohaterów tej książki przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Dotyczy to przede wszystkim Majora, czyli rotmistrza Witolda Pileckiego. Ze znanego tylko badaczom najnowszej historii Polski człowieka stał się sztandarowym bohaterem narodowym. Wzniesiono Mu pomnik w alei Wojska Polskiego, gdzie kiedyś mieszkał. Pomnik ten znajduje się tuż koło resztek bunkra, w którym zginął w ostatnim dniu Powstania mój starszy kolega z podwórka, Stefan Puławski. BBC zamierzało nakręcić serial telewizyjny o Pileckim, a amerykański autor Jack Fairweather pisze o Nim książkę. Ma ona zostać przetłumaczona na szereg języków. Jack Fairweather parokrotnie spotykał się ze mną. Oprawadzałem go po starym Żoliborzu. Pokazałem III Kolonię WSM przy Krasińskiego 16. Szczegółowo wypytał mnie o moje okupacyjne spotkania z Pileckim. Przetłumaczono mu fragmenty moich *Lwów...* Szczególnie zainteresował się rodziną Palińskich, w których mieszkaniu poznałem Majora, oraz niezwykłym losem Heleny Adelberg, jej dwóch synów i męża ukrywających się po aryjskiej stronie. Prosił mnie, by mógł tę historię wykorzystać w swojej książce z podaniem mojego nazwiska. Oczywiście się zgodziłem.

Nagle moje świadectwo z książki stało się jeszcze ważniejsze, albowiem czynione są energiczne starania o pośmiertne nadanie Witoldowi Pileckiemu medalu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przyznawanego przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie za pomoc ukrywającym się Żydom. Jak napisałem w *Lwach...*, Witold Pilecki uwolnił mnie i moją Mamę od prześladowań żydowskiego szmalcownika Saula, który groził nam wydaniem w ręce gestapo, jeśli nie otrzyma odpowiedniej zapłaty. Szantażowana Mama powiadomiła o tym Majora i ów szmalcownik zniknął z naszego życia. Byliśmy uratowani. Najpewniej na rozkaz Majora został przez podziemie zlikwidowany. Moje świadectwo wraz z fragmentem *Lwów...* trafiło do Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie, lecz uznano je za niewystarczające. Niemniej próby przyznania Witoldowi Pileckiemu medalu Sprawiedliwych dalej trwają. Prowadzą je między innymi Paweł Kudzia oraz tłumaczka na język polski książki Fairweathera Luiza Walczuk. Stara się o to również rząd polski. Tak więc pośmiertna sława rotmistrza Pileckiego to na pewno jedna z największych niespodzianek tej książki. Nigdy nie przypuszczałem, że skromny pan w cywilu, nienoszący się po wojskowemu jak inni chłopcy z konspiracji w bryczesach i oficerkach, którego poznałem na obiadach w mieszkaniu Palińskich w 1943 roku, będzie kiedyś tak sławny, a moje spotkanie z Nim okaże się tak ważne. Ten przykład najlepiej świadczy o tym, że warto pisać o ludziach, których się kiedyś poznało, bo nigdy nie wiadomo, co się po latach z nimi stanie.

Warto opisywać też stary Żoliborz. Ostatnio zrobił to świetnie Antoni Libera w książce *Niech się panu darzy*. W opowiadaniu *Widok z góry i z dołu* (chodzi o słynny komin kotłowni WSM) znakomicie utrwalił czas, znany mi z dzieciństwa, kiedy to byłem kraśnałem w przedwojennym przedszkolu RTPD. Na okładce książki jest fotografia tej niezwyklej kotłowni, w której zaczęło się Powstanie Warszawskie w sierpniu 1944 roku. W jednej części była ciepłownia, w drugiej zaś salą widowiskową i kinem. Chodziłem tam na filmy i na przedstawienia teatru „Baj”. Te stare fotografie, które znalazły się w książce Libery, zbiera od paru lat zapalony kolekcjoner Tomasz Pawłowski. Ma ich imponującą kolekcję. O wizerunek starego Żoliborza dbają też tacy ofiarni społecznicy jak Bogusław Falicki czy Marek Cygański. Dbą o to również Samorząd Dzielnicy. W 2016 roku został odsłonięty skwer imienia mojego Ojca, Igora Newerlego. Skwer ten znajduje się w samym sercu Żoliborza, u zbiegu ulic Krechowieckiej i Słowackiego. W doprowadzeniu do jego powstania

wielkie zasługi ma młoda, energiczna radna Donata Rapacka, której w tym miejscu bardzo dziękuję.

Dodam jeszcze, że niektóre zdjęcia zamieszczone w tej książce, a pochodzące z mojego rodzinnego albumu, zrobiły po latach karierę. Dotyczy to przede wszystkim zdjęć moich Rodziców, a także mojej fotografii z babcią Stefą, czyli Stefanią Wilczyńską. Przekazane do Korczakianum trafiły do dwóch bardzo cennych biografii, które niedawno się ukazały: Magdaleny Kicińskiej *Pani Stefa* i Joanny Olczak-Ronikier *Korczak – próba biografii*. Zdjęcie ze Stefanią Wilczyńską okazało się unikatowe na świecie.

Na koniec tego wstępu pragnę serdecznie podziękować Antoniemu Liberze za zgłoszenie tej książki do wydawnictwa oraz Łukaszowi Michalskiemu, dyrektorowi Państwowego Instytutu Wydawniczego, za jej wydanie. Dziękuję również redaktorowi Hubertowi Musiałowi za staranną redakcję. Za ich to bowiem sprawą moje *Lwy*... znów ożyły, gotowe zrobić mi nowe niespodzianki.

Jarosław Abramow-Newerly
Warszawa – marzec 2018 rok

Z przedwojennego mego dzieciństwa zachowałem luźne obrazy. Duży filodendron w drewnianej donicy obok mego łóżka, które tata sam zrobił. Idealnie wymierzył i dopasował do wnęki w ścianie. Z tego łóżka, ssąc palec (bardzo długo to robiłem), zobaczyłem z rana na roślinie banany. Nigdy ich nie było. Rodzice twierdzili, że filodendron obrodził w nocy. W mig je zjadłem i czekałem na następne. Niestety filodendron nie chciał rodzić. Tylko raz zaowocował wraz z tym żartem. Długo liczyłem, że jest bananowcem. Bardzo lubiłem banany.

Oprócz tego filodendrona zapamiętałem nowy gmach Dworca Głównego w Warszawie. Kiedy z dużej poczekalni o piętrowym suficie zeszliśmy na podziemne perony, tata podprowadził mnie do stojącej na stacji lokomotywy. Nigdy nie myślałem, że jest o tyle większa od tej na obrazkach w książce Tuwima. Była ogromna i pot z niej spływał. Sapała i dyszała jak smok. Stałem wstrząśnięty. Tata spostrzegł to i zagadnął maszynistę w parowozie:

– Syn zna lokomotywę tylko z książki, rozumie pan, a prawdziwej nie widział. Dlatego tak pana pożera wzrokiem. A w życiu zawsze lepiej czegoś samemu dotknąć, niż wierzyć autorowi na słowo, co? – dodał.

– Jasne – przyznał kolejarz. – Niech dotyka. Chodź, kawalerze. Nie bój się – wyciągnął do mnie ręce. Cofnąłem się, ale tata podsadził mnie, kolejarz przejął i oto byłem w środku lokomotywy. Maszynista pokazał mi wszystkie kurki i kazał palaczowi dorzucić węgla. Ten uniósł klapę paleniska i ukazała się krwawa otchłań. Jak piekło. Po paru szuflach „żar z rozgrzanego jej brzucha” buchnął bardziej. To zrobiło na mnie takie wrażenie, że widok ten zapamiętam na całe życie.

Zdażyłem przejechać się lukstorpędą z Warszawy do Łodzi. Mknęła z zawrotną szybkością stu czterdziestu kilometrów na go-

dzinę. Na wakacjach w Rabce usłyszałem też o kolejce linowej. Moi rodzice przejechali się nią wtedy w Zakopanem tuż po otwarciu linii na Kasprowy Wierch. Po powrocie dużo o tym mówili. Mam ich zdjęcie, jak uśmiechnięci jadą na szczyt.

Przejechałem się też najnowszym autobusem „W” ze spłaszczonym z przodu silnikiem po asfaltowej Wisłostradzie, przez plac Wilsona, aż na Zdobycz Robotniczą. Jeździłem również tramwajem – głównie piętnastką, która pod Lasem Bielańskim miała swoją pętlę. Wagony tramwajowe miały często skórzane fotele. Inwalidzi mogli wchodzić przednim pomostem. Porządku pilnował konduktor w służbowym mundurze, z torbą na piersiach i kasownikiem w ręku. Co jakiś czas pokrzykiwał: – Kawalerka, nie czepiać mi się wozu, bo zerwę czapki i będzie wstyd! – a pasażerów ponaglał: – Proszę państwa przesuwać się do przodu! – Ten refren miał odpowiednią melodię.

W innej melodii utrzymany był reklamowy okrzyk blacharza, który wkraczał z dymiącym kociołkiem i kołowrotkiem do ostrzenia noży. Miał głos jak dzwon i swoją kwestię ciągnął jak arię operową, rycząc na całe podwórko: – Eee blacharz lutuje, reperuje, pobiera! Reperuje kotły, rondle, naczynia aluminiowe, pobiera! – Kiedy ktoś z okna zawołał go, stawiał warsztat i przystępował do pracy. Iskry z noży i cyna topiona lutownicą były nie lada atrakcją mego dzieciństwa.

Podobnym przeżyciem była wizyta podwórkowych sztukmistrzów. Ci na naszych oczach połykali miecz i demonstrowali człowieka przebitego szpadą. Młoda dziewczyna w kostiumie kąpielowym wchodziła do blaszanej beczki z otworami, a sztukmistrz dźgał ją ze wszystkich stron na wylot ostrymi szpikulcami. Po chwili wychodziła bez rany, a sztukmistrz nadstawiał cylinder po zapłatę. Rzadko mu wrzucaliśmy z braku drobnych, ale z okien sypały się monety zawinięte w papier. Podnosiliśmy je z trawnika i biegiem oddawaliśmy artystom. Największy grad monet spadał na ulicznych śpiewaków, muzyków i kataryniarzy.

Z pojazdów jeden zwłaszcza wzbudzał sensację. Gdy wjeżdżał na Kasińskiego, już z dala wołaliśmy: – Hycel jedzie! Hycel jedzie! – Na stopniach szoferki stali dwaj mężczyźni z lassem, gotowi zarzucić pętlę na szyję każdemu psu, który biegł bez obroży. W skrzyni ciężarówki ofiary tej łapanki wyły i czekały głośno. – Co z nimi będzie?! – pytałem. – Pójdą do jatki. Zaszlachtują je – odpowiadali koledzy.

Przed wojną zdążyłem jechać taksówką. Zwiechnięta w kostce noga umożliwiła mi triumfalny przejazd na plac Inwalidów do Kasy

Chorych. Siedzieliśmy z mamą na skórzanym siedzeniu, a taksówkarz w uniformie, w służbowej czapce, oddzielony od nas grubą szybą, kierował wozem.

Oczywiście świetnie pamiętam pierwszą przejażdżkę kajakiem. Ojciec zaprowadził mnie do piaskarza Górskiego, który mieszkał na wiślanej barce u wylotu ulicy Krasińskiego przy Klubie RKS „Marymont”. Tata był z Górskim w świetnej komitywie. Na przystani RKS-u przechowywał drewniany kajak własnej roboty, dopóki nie kupił składaka marki Piast. Ten składak nazwał od mego imienia „Jary” i trzymał w workach u nas w piwnicy. Z nadejściem wiosny niósł go do Górskiego. Tam rozkładał i dokonywał pierwszego przeglądu przed długim spływem. Zawsze na kajaku spędzał swoje wakacje. Cały rok siedział za biurkiem i twierdził, że ten fizyczny wysiłek jest mu niezbędny: – Inaczej bym zgnuśniał. Byłby ze mnie gnus, synu! A machanie wiosłem daje mi zaprawę na całą zimę – powtarzał.

Za pierwszym razem wsadził mnie w czub kajaka z kołem ratunkowym pod pachami, a sam zajął miejsce przy sterze. Popłynęliśmy pod prąd aż do mostu Poniatowskiego. Machanie wiosłem sprawiało mu frajdę, bo zaczął śpiewać swą ukochaną pieśń: „Czy to w dzień, czy o zachodzie płyniemy z szumem fal”. W przeciwieństwie do mamy nie miał słuchu, ale miał dobre chęci. Co dziwniejsze, parę piosenek opanował bezbłędnie. Do nich należała ta pieśń wodniacka. Był bardzo wrażliwy na muzykę. W kawalerskich czasach kupił sobie mandolinę, na której próbował grać. Przy mamie jednak zrezygnował. Wolął, gdy ona śpiewała. W prezencie ślubnym kupił jej



Tata szykuje się do pokonania nieznanych szlaków „za Opiwardą, za siódmą rzeką”.

pianino dreźnieńskiej marki Rönisch. Mandolina zaś powędrowała na szafę i czasem ja na niej brzdąkałem.

Z barką wiślaną, berlinką piaskarza Górskiego, wiąże się jedna z moich przygód. Ojciec zabrał mnie nad Wisłę ze starszym kuzynem Bodkiem, synem cioci Tusi. Bodka podziwiałem. Nie miałem rodzeństwa i tęskniłem do niego jak do brata. Pamiętam moją rozpacz, gdy raz nie przyszedł do nas na noc. Cały tydzień cieszyłem się, że będziemy spać w jednym pokoju. Nagle on coś zbroił, dostał lanie i za karę go nie puszczono. Poszliśmy mediować do jego domu na Wyspiańskiego, ale nic nie wskóraliśmy. Bodek stał błady w ogródku z miną zbrodniarza, z nerwów łamał gałązki bzu, a ja ryczałem. Jego rodzice tłumaczyli mi, jaki był niedobry. Tata na próżno starał się znieść mu karę. Ciocia Tusia by go jeszcze puściła, ale ojczym Walek był nieugięty. Wychowywał go w twardej, spartańskiej szkole. Od tego czasu Walka zniechęciłem.

Tym razem Bodzia puścili i biegałem z nim szczęśliwy po wiślanej barce. Tata opowiadał coś piaskarzowi i swemu wychowankowi z redakcji „Małego Przeglądu”, Harry’emu. A jak opowiadał, świata nie widział. Był świetnym gawędziarzem i słuchano go w napięciu. Nikt nie zauważył, że ja tymczasem przechyliłem się przez poręcz i wpadłem do wody. Z przerażenia wybałuszylem oczy i wykrzywiłem twarz. Musiałem zrobić niezłą minę, bo Bodek krzyknął:

– Wujku! Wujku! Niech wujek spojrzy, jak Jarek się wygłupia!

Tata z powołaniem mógł nie spojrzeć, ale spojrzał i wszystko skończyło się na strachu. Harry skoczył na pomoc i mnie wyłowił. Zdążyłem łyknąć parę haustów wody. Tego chrztu w Wiśle nie pamiętam, podobnie jak mój zbawca Bodek. Ponoć długo powtarzałem w domu „lulu nie”, co znaczyło, że kąpać się nie chcę. Mama bała się, że ta kąpiel zostawi we mnie trwałe uraz do wody, ale nie. Wcześniej zacząłem pływać.

Z tych wypraw nad Wisłę wracałem zawsze na barana, bo nudziło mi się trzymać ojca za palec, wołałem na nim jeździć. Dość późno zorientowałem się, że jest inwalidą. Trochę utykał i czasem używał laski (gdy niósł składak na przystań), ale nie przypuszczałem, że nie ma nogi. W dzieciństwie mu ją amputowano powyżej kolana i nosił ciężką skórzaną protezę zrobioną w jedynym wówczas zakładzie ortopedycznym w Warszawie – u doktora Kuglera w Alejach Jerozolimskich. Jak byłem większy, wyjmowałem tę protezę z szafy



Tata na łódce przy wiślanej barce piaskarza Górskiego.

i podawałem ojcu do łóżka. Była mego wzrostu i ledwie mogłem ją dźwignąć.

Kalectwa ojca nigdy nie odczułem. Poza tym, że utykał i nie mógł biec, trudno było go uznać za inwalidę. Nigdy nie korzystał ze swego inwalidztwa. Nie wsiadał przednim pomostem. Nikt w tramwaju nie ustępował mu miejsca. Raczej on komuś. Ponieważ protezy były wówczas rzadkością i większość inwalidów chodziła o kulach lub o drewnianym szczudle, ludzie sądzili, że tata ma sztywną nogę. Ja sam tak myślałem. Trudno było sądzić inaczej, skoro na lotnisku w Ustroniu, gdy nie chciałem iść w góry, tata wniósł mnie na sam szczyt Równicy. Przywykłem do tego, że dźwiga mnie jak piórko i z lekkością nosi na barana.

Innym moim przejściem była „kraksa samochodowa”. Ciągnąłem moje auto za sznurek, odwrócony tyłem, i stoczyłem się po schodach z całego półpiętra. Mama myślała, że coś sobie złamałem, ale na guzie się skończyło. Wołałem potem: – Pojotał nu! Pojotał nu! – co znaczyło, że jazda autem jest niebezpieczna. Pojotałem nazywałem auto. Było to mniej więcej wtedy, gdy w maju niespodziewanie spadł śnieg i chowano Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tego pogrzebu nie pamiętam, bo miałem dwa lata, ale już przed wojną słyszałem o Piłsudskim. Tata mi o nim opowiadał. Zresztą nie tylko o nim.

Największą atrakcją mego dzieciństwa były bajki. Nie zasnąłem, póki mi ich ojciec nie opowiedział. Pełnił rolę telewizyjnej dobranocki. Często przeciągała się do godziny, gdy tata puszczał wodze swej fantazji. A miał ją wielką. Dar improwizacji olbrzymi. Siadał wtedy przy moim łóżku, zapalał papierosa i pytał, na czym stanęliśmy. Podpowiadałem mu szybko i zaczynało się. Konie cwałowały, zbójcy w popłochu uciekali, uwięziona królowna na próżno czekała na ratunek w zamku. Były to fantastyczne seriale w odcinkach. W najciekawszym miejscu tata urywał, całował mnie w głowę i mówił: – Pora spać, synku. Jutro ci dokończę. – Ja protestowałem. Wtedy wkraczała mama, wyrzucając ojcu, że przesadził: – Widzisz, że od godziny ssie palec i ledwie patrzy na oczy. I znów strzepnąłeś mi popiół na podłogę zamiast do popielniczki. Tyle razy cię prosilam. A stoi obok! – Tata w ferworze akcji o niej zapominał. Ilekroć bitwa rozgorzała na dobre, tym popiołem wypalał dziurę w podłodze lub sobie w koszuli.

Szkoda, że wtedy nie było magnetofonów i nie można było tych bajek nagrać. „Oglądałem” je jak barwny film. I kiedy mama zaprowadziła mnie do kina na *Królowną Śnieżkę*, to ta królowna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak bajka ojca o trzech diabłach, które mieszkaly na cmentarzu i w nocy napadały na ludzi. *Królowna Śnieżka* rozczarowała mnie też i tym, że była narysowana. Najbardziej podobały mi się piosenki, które już znałem od mamy i z przedszkola ze słynnym „Hej ho, hej ho, do pracy by się szło!”. Dużo bardziej przypadł mi do gustu drugi i ostatni film, który zdążyłem obejrzeć przed wojną: *Pat i Patachon*, ponieważ bohaterowie byli żywi, nie malowani. Jeden duży, drugi mały.

Tata był niezastąpiony w wymyślaniu gier. Traktował je równie poważnie jak ja. Kiedy bawiliśmy się w okręt piracki, to pokój wywrócony był do góry nogami. Jego biurko zmieniał się w kapitański mostek, kij od froterki zastępował okrętowe działo. Okrążeni przez wrogów skakaliśmy do łodzi ratunkowej. W tym celu tata przynosił z kuchni balię. Na dwóch szczotkach rozwieszał prześcieradło, sterował tarą do prania i płynęliśmy przez wzburzone morze do wyspy, która miała nas ocalić.

Na froterce tata mnie woził w czasie czyszczenia podłóg. Mama o nie bardzo dbała. Deski często szorowało się do białości i smarowało pastą. Po wyschnięciu – polerowało froterką. Ja wtedy wskakiwałem na nią jako balast i chwytalem za kij, a tata pucował mną do glancu. Trzymałem się mocno, by nie spaść. Po tym czyszczeniu